



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

NAUKA I WYCHOWANIE DZIEWCZĄT.

II.

Nauczycielka—Guwernantka.

Nauczycielka domowa, nie jest nauczycielką jedynie, i dlatego nazwa inna, różnicę tę zaznaczająca, ma zasadę słuszną. Przecież *guwernantka*, znaczy dosłownie *rzędczynię*, co określałoby stosunek niewłaściwy, usuwający na bok matkę, a cały kierunek wychowania, rząd nad dzieckiem oddający w ręce obcej zastępczyni. Gdzie tak jest, jest bardzo źle, ale dzięki Bogu, podobny stan rzeczy zdarza się obecnie bardzo rzadko. Gorzej, lepiej dzieło wychowania prowadząc, matka naszego czasu nie wyrzeka się go niemal nigdy tak, aby choć ster główny w rękę jej nie pozostał. Była w dziejach naszych obyczajów smutna epoka przełomu, w której ulegając wpływom z góry, od wynarodowionej arystokracji idącym, matka czyniła coś podobnego, nie z braku macierzyńskiego uczucia nawet. Wielkie a zepsute panie dworu Stanisławowskiego, którym nie stało czasu na zajęcie się dzieckiem, oddawały je całkowicie w ręce sprawowanej na to Francuzki—*guwernantki*, która miała zwierzoną sobie edukację: naukę i wychowanie. Płochy tych wietrznic było w stosunku do kobiet całego narodu niewiele, one przecież czyniły modą zmianę ojczyznanego obyczaju na obcy, na francuzki, one napiętnowały nazwą barbarzyństwa starą prostotę, starą powagę i skromność naszego rodzinnego życia. Wraz z fryzurą i suknią francuzkiego kroju, trzeba było przyjąć układ francuzki, elegancję, maniery i język. Pisano, czytano, modlono się po francuzku, i to stanowiło cechę do-

brego tonu, cechę wyższej ogłady. Te, które się na to zdobyć nie mogły, czuły się zawstydzonymi, uczuciem niższości swojej tak przejętymi, że lekko-myślny a świegotliwy zastęp, który już dostąpił beatyfikacji cudzoziemszczyzny, imponował im i pokornymi je czynił. Uczciwie i dostojne, a rzeczywiście mądre, rzeczywiście rozumne, bo na prawdziwe życie, na jego obowiązki i pracy oparte, poczęły się same cenić niżej, w obec istot nieużytecznych i lichych, w gruncie rzeczy złych obywateli, złych córek swego kraju. Było to zachwianiem się nieszczęsem i odstępstwem od zasady życia swego; co zatem poszło, jak padł w gruz gmach nietylko obyczaju starego, nie tu miejsce się rozwodzić; zaznaczyć tylko trzeba, że matki z miłości własnie dla córek swoich, kierownictwa nad temi córkami wyrzekały się zawsze, ilekroć mogły im dać guwernantkę, któraby kształtowała je na jakieś wyższe, różne od nich samych istoty; guwernantkę, w obec której nieśmiały głosu podnosić, one—prostaczki. Utrwalało się to, stawiało zwyczajem, cudzoziemszczyzna wychowania podkopywała wychowania tego rdzenną podstawę, wydzierając je z rąk matek, aż przyszła wielka i zbawienna reforma, dokonana przez autorkę *Pamiętniki po dobrej matce*, przez Kl. Tańską, a inaczey Hofmanową. Trzeba z historią w rękę patrzeć na tę postać błogosławionej pamięci, aby zrozumieć całą jej zasługę, całą doniosłość tego co zdziałała. Mógł to—jak Zmichowska dowodziła w studyum stwojem—nie być umysł najwyższy, mógł nie stawiać jej w pierwszym szeregu wielkich bojowników postępu, mogła nawet nie przystępować do dzieła swego ze skończoną i wytrawną wiedzą pedagogiczną, a raczej nabywała jej dopiero w działaniu, kształcąc się w niem i rozwijając zdolności swe stopniowo: ale nigdy i u nikogo wyższe, czystsze, szlachetniejsze uczucie nie stało się natchnieniem lepszym do czynności najwyższego znaczenia i najzbawienniejszego skutku. Wychowana tak, jak cały ogół ówczesnych kobiet,

którym przy wyższym niby wykształceniu *zdobiono umysł*, pierwwej nawet niż życie zestawilo ją z ludźmi, oddziałać na to mogącymi, sama zdobywała się na reformę wychowania własnego i przez siłę miłosną, w piersi jej mieszkającą, trafia na to, że było ono w zasadzie swojej błędem i nienaturalnością, że sprzeczało się z tem wszystkim, co do szlachetnych obowiązków człowieka należy. Język francuzki, który był jej jedynym językiem literackim, sama na bok odsuwa; sama zaczyna się kształcić w rodowitym i zdobywa go sobie tak, że staje się wysoce poprawną pisarką, a do literatury ojczystej nie powierzchownem zamięlowaniem przylega. W podobny sposób działo się u Tańskiej wszystko: poczeiwe ukochania urabiają jej wyższy, poczeiwy życia ideał; gorące pragnienie dobra ogólnego staje się w niej zachętą do czynu i wytwarza powołanie. Bierze pióro do ręki więcej jako obywatelka i istota sercem zacna, niżeli jako pisarka, i charakter ten zachowuje się jako stała cecha jej literackiego talentu. Nigdy artyzm, fantazya, wyobraźnia nie bierze nad nią góry, nie daje jej zapomnieć celu swego; najpoczeiwsza tendencyjność stoi zawsze na straży i nie daje jej się na boki odrywać. Czytając jej *Pamiętniki*, trzeba się mimowoli wzruszać, jak pożytek publiczny jest zawsze pierwszą jej myślą, przy zamiarze każdej jej pracy literackiej. Chce dać ogółowi to, co mu jest najpotrzebniejszem i to natchnienie, powstałe z miłości serdecznej społeczeństwa swojego, daje pismom jej owo ciepło, ową żywotność, która była tajemnicą jej wpływu, jej powodzenia. Kto je studiując, pierwiastek uczuciowy z nich usunie, kto go na boku zostawi, ten może się rzeczywiście dziwić potędze, jaką miały i nie zrozumie jej, tej potęgi. Tkwiła ona w sile jej serdecznego na serca oddziaływania, była odczuciem przez ogół tego, co z jej piersi szło magnetycznie w piersi tysięcy. Oswieciła te tysiące, zrozumiano ją, ukochano i posłuchano; środkami na pozór małemi, dokonała rzeczy ogromnej: reformy obyczajów, reformy

w wychowaniu kobiet. Pod jej wpływem kobieta ówczesna doszukała się naturalnego swego gruntu; matki wróciły do najświętszych obowiązków macierzyństwa, i zaczęły własną piersią karmić dzieci swoje, zaczęły przy nowym zwrocie pedagogicznem same je wychowywać.

Postęp w wykształceniu dokonał reszty. Dziś każda niemal matka tworzy sobie jakiś plan, a choćby tylko jakiś ideał wychowawczy; zły czy dobry, wychodzi on niemniej od niej samej, i dosłownie rzecz biorąc, guwernantka nie jest już obecnie *guwernantką*, nazwa w znaczeniu swem filozoficznem już przeżyta, archaiczna, utrzymuje się przecież i z użycia nie wychodzi, bo cieniuje ona tę różnicę, zachodzącą między samym nauką wykładem, a współpracownictwem w trudach wychowania, które nauczycielka domowa z matką podziela. Jest ona razem nauczycielką i wychowawczynią, jest w dziele wychowania pomocniczą matki: dlatego sama nazwa nauczycielki znaczeniu rzeczy nie odpowiada, nie określa go dostatecznie, i nie uwydatnia stosunku w jego charakterze podwójnym, o którym przecież nigdy zapominać nie należy w edukacji dobrze prowadzonej.

Przy wyborze nauczycielki domowej dwoistość ta tkwić powinna mocno w pamięci rodziców. Że osoba mająca uczyć, powinna przedewszystkiem posiadać odpowiednie wykształcenie naukowe, to wątpliwości nie ulega. Idę nawet dalej: osoba mająca uczyć, choćby przedmiotów nauki elementarnej, powinna być osobą inteligencji wyższej, powinna być umysłowo rozwiniętą, życiem intelektualnem żyjącą. Udzielanie nauki nie jest to przelewanie balsamu z naczynia w naczynie: potrzeba najpierw, aby siła umysłu nauczycielki, poza literą nauki stojącą, umysłem dziecinny zawładnęła, otworzyła go, przeniknęła nawskróś, a dopiero liczyć można na rzeczywiste pożytki naukowe z udzielanych dziecku wiadomości. Można pewien zasób tych wiadomości encyklopedycznie posiadać, a jeszcze ani naukowym człowiekiem, ani do nauczycielstwa uzdolnionym nie być. Nie prawdą jest, co się często słyszeć o kimś daje, że sam umie, ale uczyć nie potrafi; kto rzeczywiście umie, to jest naukę jakąś umysłem doskonale objął, i na własność, nie pamięci, ale wiedzy swej posiadał, choćby z metodą nauczania obeznanym nie był, to ją sobie jakoś stworzy, oryginalnie wynajdzie, ale w ten lub inny sposób zawsze nauczać może i nauczać będzie dobrze, tak jak nie podoła temu nigdy człowiek, choćby z pedagogiką nauczania, z metodą obeznanym, jeżeli nauka jego ogranicza się na pamięciowym jedynie zatrzymaniu w umyśle szczegółów naukowych. Taki nauczyciel, czy nauczycielka, zawsze będą rodzajem maszyny do nauczania, i dziecku tyle tylko dać mogą, ile sami posiadają: wprowadzą mu w pamięć pewną liczbę dat i nazwisk, wyrazów i frazesów, ale o kształceniu naukowem mowy tu być nie może, bo się przez to umysł nie rozszerzy, pojęcie nie wzmoże i nic na formalną korzyść dziecka nie przybędzie. Do nauczycielstwa jak do kapłaństwa, którem też jest niezawodnie, nie godzi się przystępować bez powołania, bez usposobienia szczególnego: bez pewnej podniosłości umysłowej, pewnego zamiłowania naukowego, które gdy się odpowiednią wiedzą i specjalnem wykształceniem podeprze, dopiero razem staje na usługę społeczeństwa osoba nauczycielska najwyższego szacunku i uszanowania godna, choćby działała w zakresie nauki niższym, w zakresie nauki stopnia pierwszego. Dla mnie niema tu różnicy; przed dobrą nauczycielką elementarną z taką samą czcią głowę schylam, jak przed professorem uniwersytetu, którego wykłady z wysokości katedry rozbrzmiewają. Oboje jednak światło nieca, oboje najszlachetniejszy zawód służby publicznej spełniają i do arystokracji ducha należą—jeżeli tylko rzeczywiście do tej arystokracji prawo mają. Kto przecież tego pomazania wyższego nie dostał, kto przy miernych zdolnościach, przy niższej organizacji umysłowej w szeregi nauczycielskie się ciśnie i bez powołania, bez uzdolnienia należnego, jak rzemieślnik dla chleba do tej poświęconej pracy się porywa,—jest w oczach moich karygodnym i nigdy nie mogę w sobie oburzenia powstrzymać, pobiłazania z serca wydostać, gdy się z taką osobistością spotykam. Pisałabym dla niezdolnych nauczycieli czy nauczycielek prawo Drakońskie, skazywałabym ich na średniowieczną karę wyświeca-

nia z miejsca, gdzie lichą swoją robotę spełniali, a rodziców, którzy się tak zawieść dali, uważam za mało troskliwych, mało przywiązanych, chybiających w jednym z najważniejszych obowiązków rodzicielskich. Wprawdzie nie każdy ojciec, nie każda matka jest w stanie o stopniu naukowego wykształcenia, o stopniu umysłowej podniosłości nauczyciela, czy nauczycielki sądzić, spuszcza ją więc na biura rekomendacyjne, na kantory stręczeń, które po większej części traktują rzecz jak przemysł, zarobek, mający rocznie do takiej a takiej cyfry się podnieść. Gdyby jednak rodzice: ważnością rzeczy głębiej i silniej byli przejęci, nie zafatwiali się z nią naprędce za okolicznościowym do miasta przyjazdem, nigdy-by tak ciężko i często zawodzeni nie bywali, jak to dzieje się dzisiaj. Spotyka się setki całe takich nauczycielek, które rzeczywiście niegdy uczyć nie mogą, bo same nic o Bożym świecie nie wiedzą, a jednak pchają przez lata długie taczkę swego nauczycielskiego zawodu, co nigdy miejsca-by nie miało, gdyby staranność rodzicielska większą, czulszą w troskliwości o naukę dzieci była. Kto sam sądzić o czemś nie może, niech się o sąd światlejszy postara i fałszywy wstyd na bok usuwając, grzeszną jak tu pychę z serca zdejmując, niech znajdzie sobie kogoś, któryby kompetentnie o rzeczy mógł wyrokować. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, to znaczy, że kto w pewnym kierunku ostrożność usilną rozwija, ten złego tak szczęśliwie uniknie, że się to aż łaską Bożą być zdaje. I niewątpliwie łaska Boża byłaby zawsze z rodzicami prawdziwie przy wyborze nauczycieli troskliwymi, i nawet osoby stręczące poczułyby się do winy, do zaniepokojenia w sumieniu, widząc rodziców rozwijających tu tkliwą i usilną o naukę dzieci swych staranność. A trzeba jeszcze dodać, że błędem to jest pedagogicznym, błędem wielkiego dla całej edukacji następnej znaczenia, gdy ktoś wyobraża sobie, że na początek nauki można się lada bakałarzem, lada bakałarką obyć. Przeciwnie: początek nauki wymaga może największej nauczycielskiej umiejętności, najrozumniejszej nauczania metody, aby umysł dziecka popchniętym nie został w kierunku działania mechanicznego, w kierunku przeważnie pamięciowym, co często stanowić może o całej przyszłej intelligencji młodej istoty. Dobra nauczycielka dana dziecku na początek, to jak dobre fundamenta, dobra podwalina pod budowę.

Gdy rodzice upewnią się należycie o tem, że sama nauczycielka dość umie, dość rozumie, aby dobrze uczyć mogła, że jest osobą dostatecznie naukowo wykształconą i zarazem tak umysłowo podniosłą, aby szerszej sfery pojęć sięgnąć mogła, należy im z kolei zbadać w niej wychowawczynię; i tu już występuje obok nauki rzecz druga: osobisty charakter, osobista uczciwość i poglądy moralne na życie, jego cele i zadania—szkoła filozoficzna, jakiej wychowawczyni w tych poglądach hołduje. Rodzice powinni znać moralną stronę osoby, która ma być ich współpracowniczką w dziele wychowania i rzecz ta niemniej ważna, a często ważniejsza od poprzedniej, bo ważniejszem od wiedzy naukowej jest to, co dziecku jako przekonania moralne zaszczerpieniem zostanie, to, co o kierunku jego duchowym, o przyszłym kierunku życia ma rozstrzygać.

Rodzice powinni też pod tym względem wyznaczyć swoje chęci i dążności, przed nauczycielką złożyć i nawzajem wyznania takiego od niej wymagać. Uczciwa odpowie im sumiennie; ta, która skłamała, da przeciwko sobie broń, której rodzice mogą słusznie i sprawiedliwie użyć, skoro się nieprawda wyda—mogą natychmiast dzieci swoje usunąć z pod wpływu w przekonaniu ich szkodliwego. Czy się mylą lub nie, to już rzecz ich, Boga i społeczeństwa, wśród którego żyją; nauczyciele nie wolno przekraczać granic woli rodzicielskiej, nie wolno jej nadwierać nigdy i w niczem zasady moralnej, z której rodzice pragną mieć podstawę życia dzieci swoich. Ta, która się na nią nie godzi, niech się nie podejmuje wychowania wbrew przekonaniom swoim prowadzonego; inaczey grzeszną będzie fałszerstwa gorszego, niż gdyby to były wexle na miliony milionów podstępnie podpisane, bo jeden duch ludzki droższy jest nad wszystkie skarby Potosi.

Rodzice mają prawo do tego wszystkiego: mają prawo wiedzieć co też nauczycielka i wychowawczyni ich dzieci umie i czem jest jako osobistość moralna. Pragnienie wiadomości takiej nie jest z ich strony zuchwalstwem, nie jest upokorzeniem osoby będącej tego egzaminu, tego badania przedmiotem. Rozsądna oceni to i zrozumie w powodach, które tylko uczyć, tylko uszanować powinna. Ale drugostronnie ma i ona prawa swoje, które dla rodziców dziecka obowiązkiem być muszą.

(Dokończenie nastąpi).

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

(Dalszy ciąg).

Na to jawne wyznanie córki, ojciec i matka odrzekli stanowczo: — Tak, tak—nie malował wcale Julii, choć go o to bardzo prosiła.

— A więc jest u państwa *ktoś*, co się nazywa Gerardo?—rzekła kasztelanka.

— A, no, jest — odrzekł zakłopotany p. Kopeć, ale on nikogo nie chce widzieć i zostaje w najzupełniejszym *incognito*.

— To nic nie szkodzi, ja go przecież nie zdradzę... poprosz go pan niech przyjdzie tutaj — ja go sama zapytam: czy zechce zrobić mój portret?...

Trudno było odmówić rozkazowi JW. kasztelanki, przeto posłuszny p. Kopeć, miał już tylko co wejść do pokoju malarza z włoskiej ziemi, gdy on sam ukazał się na progu—we własnej osobie. Książę wyglądał dziwnie pięknie, choć nieco fantastycznie; miał na sobie niebieską axamitną bluzę, ze srebrnymi małymi guzikami i czarną czapeczkę à la Rafael.

Stanąwszy na progu, zdjął z uszanowaniem czapeczkę i rzekł spokojnym napozór głosem:

— O, przepraszam, jeśli państwu przeszkadzam, nie wiedziałem bowiem...

— To kasztelanka Marya!—szepnęła mu prawie w ucho, dowcipna p. Kopeciówna, — ona już wie o bytności pana.

Gerard jeszcze raz oddał poważny ukłon i rzekł:

— Pani raczy przebaczyć, że w takim stroju... śmiem stanąć przed nią!

— Panie!—odrzekła równie z udanym spokojem kasztelanka, — to strój włoskich malarzy, ja go znam!... bom była przed kilku laty we Włoszech— a nawet umiem trochę po włosku....

— A, jeśli pani mówi po włosku, — odparł znowu oddając ukłon, ośmielę się przemówić do niej tą mową, gdyż niezmiernie kocham Włochy — i rzekł tylko te słowa krótkie po włosku:

— *Vi sono molto obbligatissimo Signora!...*

— *Andatavene pure?...* Che dite?... odrzekła Marya szparko i rozkazując:

— *Sono an' gli ordini Vostri Signora, guardatemi di grazia come un servitore.*

— *Tanta grazia, e voi pure!*

— *Ustice per di qua!*—i wskazał drzwi.

I po tem niezrozumiałym dyalogu dla rzęsy leśnej, kasztelanka i książę Sołłohub ujrzeni się sami w maleńkim ogródku Borówki, gdzie była mocno oceniona altanka, dzieło rąk samego p. Protaze-go Kopecia.

Gdy już wyszli, pierwsza p. Kopeciowa odezwała się statecznie:

— Co to za dziwna mowa, z tej włoskiej krainy; nie słyszałam jeszcze podobnej jak żyję!

— Boś głupia! — odparł gniewnie p. Kopeć, — a to dlatego gniewnie, że także nie a nie nie rozumiał. — Ja, — ciągnął dalej, dobrze rozumiałem, bo posiadam łacinę — i mogę wam wytłumaczyć, że gdy go kasztelanka zapytała, ile on chce za wymalowanie jej portretu? on, odpowiedział grzecznie:

— „*Ustice per di qua*“—co znaczy: tyle, ile pani mi zapłacisz....

VII.

— To znać, że nie jest interesowany człowiek! — zawołał śmiejąc się jowialnie p. Zaremba, nie targuje się.... O! to ładnie!...

— Co, on — ma się targować o *malaturę*? — krzyknęła oburzona prawie p. Julia — on taki „hambitny“, że pieniądzy rzuca jak plewa!...

— To prawda! to prawda! — potwierdziła p. Kopciowa, — on jest podobny do jednego *księcia* z „istorii“, co udawał, *włóczęgę*! — ja to czytałam niedawno!

My tymczasem posłuchajmy, — jak to jest wolno duchom i autorom — co rozmawiają Gerard i Marya w altance wrzosowej.

— Więc to stanowcze twoje słowo? — Zawołała Marya z wielką boleścią głosu.

— Tak, pani, nie mogę inaczej postąpić — obowiązek, honor i cześć, jaką mam dla ciebie.... każe mi tak czynić!

— Honor! obowiązek! i cześć!... Więc to jest wszystko? i niema już nic innego poza tem?

To mówiąc, Marya zalała się łzami.

— Maryo! — zawołał Gerard, padając na kolana, po cóż ty jeszcze dolewasz trucizny do mego kielicha, kiedy on i tak już jest przepełniony żołądkiem?

— A po co ty wydzierasz ostatnią iskrę nadziei z mego serca?

— Ja? ja? chcę cię uwolnić od ślubów ducha twego, bom ja *banita*!...

— Nie kończ! — krzyknęła prawie gniewnie kasztelanka — ty nie możesz, ty nie masz prawa uwalniać mnie od tego, com poprzysięgła Bogu, że będę li-tylko twoją żoną — a niczyją nigdy!

— Dziecię moje drogie — zawołał książę, składając ręce jak do modlitwy — to mogło być niegdyś, przed dwoma laty, ale nie dziś!... gdy na moją głowę *naznaczono cenę*! bom przestępca według prawa.

— Ja mam moje prawo w sercu! i tyś dla mnie zawsze ten sam, coś był przed dwoma laty; — mój jedyny, mój piękny, szlachetny książę Gerard!

A mówiąc te słowa, Marya, prawie omdlewająca, padła w objęcia księcia Sołłohuba.

Usta ich się złączyły, i nie było już słów „parlamentarnych“!

Książę, pierwszy się ocknął ze snu zaczarowanego, i zawołał uroczyście:

— Kochanko duszy mojej! — chcesz więc dzielić los tułacza, którego głowa jutro może paść pod toporem kata?

— Tak! tak! — zakrzyknęła Marya z uśmiechem ubłogosławienia: niech padną dwie głowy, nie jedna; śmierć dla ciebie będzie lepszą!...

Sołłohub nie miał już słów na wyłew tak anielskiej miłości; szepnął tylko z cicha, schylając czoło ku ziemi:

„Sława Tobo Bohu na Niebiesach“!

Tymczasem, gdy się to działo w altanie, pocziwa p. Julia paliła się od ciekawości: czy malarz z włoskiej krainy robi „malaturę“ kasztelanki, skoro dotąd nie chciał jej zrobić.

Wyznać musimy, że i zazdrość nie małą rolę grała w tej ciekawości niewieściej. Lecz gdy to rzekła, p. Kopec odezwał się rozsądnie:

— Ani mi się waży, ty głupia sroko, mieszać się w cudze sprawy! a tobie co do tego!...

Pan Zaremba rozśmiał się i rzekł z komplementem:

Zacna p. Julia, śnać nie uważała tego, że ów pan malarz nie wziął ze sobą ani farb, ani pędzli, ani palety!...

— Jakto? patelni? — zakrzyknęła p. Julia.

— Julcia, nie biegła w „malaturę“, tłómaczyła dobrotliwie matką, ja to znam z „istorii“, że malować to wielka sztuka.... i nie każdy to potrafi!...

— Et! gadasz, jak stara wrona! — odezwał się p. Kopec, — co tam twoje „istorie“, lepiej idź i przynies nam *starki*!

Posłuszna p. Kopciowa poszła po *starke*, i już nie rzekła ani słowa.

A p. Julia tymczasem rzekła z nadąsaniem, patrząc przez okno:

— O! już idą!... Kasztelanka *zapiakana*, jak mamę kocham; a malarz błądy jak *kreda*! — to dopiero była rozmowa *istoryczna*....

Rodzina Sołłohubów należała ongi do jednej z najstarszych i najbogatszych rodzin rysińskich; lecz nie było jej śladu przeznaczonego utrzymać długo swój splendor rodowy. Sołłohubowie, z ojca na syna, wszyscy posiadali wielki mir u braci szlacheckich, już to dla swoich osobistych przymiotów, już też dla dziwnej rycerskości ducha i dzielności oręża.

Za króla Jana miała ona wielkie przywileje; a to wskutek zdarzenia — o jakim tu wspomnę wkrótce:

Kiedy Iskander-Amurat był najstraszniejszym pogromcą dla Wiedeńczyków, Jan III Sobieski rzekł do jednego z Sołłohubów:

— Tego dajmona chyba żywcem nie złapiemy.

— Czy głównie idzie Naj. Panu o to, by mieć go żywcem; czy tylko o jego pogańską głowę? — odparł junacko książę Dymitr Sołłohub.

— Już też wolałbym mieć go jako jeńca: taki zakładnik zawsze złoto przynosi, a trup go nie da.

— A no, to prawda, — odparł książę Rusin — trzeba go złapać, i jako „*niemowlę*“ oddać W. K. Mości.

— Dlaczego *niemowlę*? — zapytał król z uśmiechem łagodnym, — czy niemowa?

— A toć to, ta psia wiara, nie gada ludzkim językiem, czekają jeno jak psy.

I jak książę zamierzył tak uczynić.

Po długiej a energicznej walce, Amurat spadł ranny z konia, Sołłohub, jak ptak skrzydlaty, porwał go na swoje barki, owinał w burkę, opasał rzemieniem, niby powijakiem — i kazał tak zanieść do obozu królewskiego, to *tureckie niemowlę*!).

W epoce, w której mieścimy naszą powieść, ród ten był już prawie wygasłym; żyło jeszcze tylko dwóch starych książąt: ojciec i stryj Gerarda Sołłohuba, znanego czytelnikowi w niniejszej powieści.

Książę Iwon, ojciec Gerarda, miał już lat siedm-dziesiąt kilka, brat jego Bazyli — osmdziesiąt.

Miłość tych dwóch braci była prawie legendowa: przez całe życie nie rozłączyli się z sobą; żyli wiecznie pod jednym dachem; rzecz można, iż jedną myślą, jednym uczuciem biły ich serca braterskie.

Bazyli, przez nadzwyczajną miłość ku młodszemu bratu, nie chciał się nigdy ożenić, a to dlatego, iż fortuna Sołłohubów była już wówczas zmaleła.

— Ty musisz się żenić, miły Iwonie, mówił starszy do młodszego brata, bo jak my pomrzemy, to i nazwiska Sołłohubów nie zostanie, a szkoda tak marnie zejść z tej ziemi!

— A czemuż nie wy, miły bracie? — odpowiadał Iwon, — wysście starsi i mędrsi, wam przystoi wziąć żonę, co-by wam dała potomka Sołłohubów; ja się tam mogę obejść bez białogłowy: wojaczka zastąpi mi połowicę.

— Zrobisz tak, jak Opatrzność kazała zrobić, — odparł pobożny książę Bazyli, — nie my rządźmy Opatrzności, ale ona nami. — Słuchaj więc, miły bracie, co ci powiem, i utwierdź to w swoim sercu, że nie marne słowa ci daję, jeno jako brat z ciała i z ducha.

Kiedy to powiedział książę Bazyli, głosem uroczystym i prawie kapłańskim, młodszemu bratu odparł jeno te słowa:

— Mów, miły bracie, a będę ci posłusznym.

Wówczas książę Bazyli rzekł w ten sens:

— Otóż ci powiem najpierw słów kilka z „Deuteronomium“ Mojżeszowego, które rozważ i zrozumiej: „Nie umrą ojcowie za syny, a synowie za ojców — każdy za grzech swój umrze! — albowiem, będzie i niebo twoje, które jest nad głową twoją *miedzianem*, i ziemia, która jest pod tobą, *żelazną*“.

— Nie rozumiem tego dostatecznie — odparł sprawiedliwie książę Iwon, — ja, nie jestem tak moczy w Biblii, jak miły brat!

— A więc ci wytłómaczę sens onych mądrych słów prawodawcy Izraela: — Zważ, miły bracie, że z tak licznej rodziny, i z tak zamożnej jak książąt Sołłohubów — zostało nas zaledwie dwóch — ostatnie latorośle wielkiego, a dumnego drzewa na ziemi. I czemuż-to? — Bośmy wszyscy szli inną drogą niż Pan przykazał; każdy Sołłohub chciał być Bo-

giem na ziemi; jemu dano było tylko rozkazywać, a wszystkim służyć!... Żaden Sołłohub nie brał innej żony jeno kniaziównę, a choćby pokochał inną, to-by jej nie pojął, jeśli nie miała mitry. Duma Sołłohubów była tak wielką, iż nareszcie, „niebo nad naszymi głowami stało się *miedzianem*, a ziemia pod nami — *żelazną*“.

I książę-biblista, mówiąc to, zakrył oczy dłońmi, jakby wstydząc się przed Panem za grzechy przodków swoich.

Młodszy brat milczał i nie śmiał przerywać głębokiej kontemplacji starszego, lecz wyznajmy prawdę, że nie rozumiał wcale: jaką to ma styczność z jego przyszłym ożenieniem się?

A więc wciąż milczał.

Owoż, książę Bazyli, schodząc z górnych krain na padoły ziemski, rzekł uroczyście:

— Usta twe zawarte, miły bracie; ale śnać serce zrozumiało moje słowa, i dlatego milczysz! Nieprawdaż?

— Tak! — lecz, miły bracie, twoja mądrość przewyższa moją głowę, — jam nie biegły w Piśmie Ś.; wszelakoż na twoje słowa, wierzę wszystkiemu: powiedz mi zatem bez przenośni, co czynić, aby niebo dla nas nie było *miedziane*, a ziemia *żelazna*? podług słów Mojżesza.

— Otóż ja ci to wytłómaczę — rzekł sentencyonalnie książę Bazyli: — „Niebo dla nas „*miedziane*“, jeśli duch nasz w uspieniu; ziemia dla nas „*żelazna*“, jeśli kochamy jedynie jej mamotę. Z czego sens moralny, miły bracie, żeś ty pierwszy z Sołłohubów powinien pójść inną drogą — niż oni wszyscy.... rozumiesz?“

— Tak! lecz, miły bracie — odparł z pewną energią książę Iwon, — nasi przodkowie zawsze walczyli w Imię Boga, honoru i ojczyzny: czyż jest nadto piękniejsza droga?

— Zacznie mówisz, mój drogi Iwonie — zawołał gromko książę Bazyli, — i powstał z siedzenia, by uściśnić brata; lecz słuchaj co ci jeszcze powiem. Oni, nasi ojcowie i dziadowie — w Bogu, — widzieli Sołłohuba! w honorze — Sołłohuba! w ojczyźnie — Sołłohuba!.... ty zaś powinienes zapomnieć, żeś książę Sołłohub, a stać się jeno „sługą Bożym“!

— Bracie, ależ to niepodobna!

— Nie przerywaj! — rzekł Bazyli. — Ja nie mówię, byś się zaparkł tradycji rodu naszego, ale zarzuć jej pychę, butę i umiłowanie siebie nadewszystko.

— Jakże to uczynić? — rzekł pokornie młodszemu bratu.

— Jakto to uczynić? — Rzecz prosta: zapomnieć o kniaziu Sołłohubie, a pamiętać li-tylko o człowieku powstałym z *mułu*, za wolą Boga! Owoż, mój miły bracie Iwonie, zaklinam ciebie, na Imię Tego, co jest na niebiesiech, bądź odtąd „człowiekiem“, ale nie „kniazem“; żeń się z kobietą, którą upodobał; nie patrz jej posagu, jeno, jeśli umiłujesz — to ona, *twoja* a ty, *jej*.... gardź chwałą światła, by o tobie mówiono, ale szukaj chwały we własnym sumieniu. Wówczas, gdy to uczynisz, będziesz prawdziwym synem Bożym!...

Książę Iwon, wierzący święcie w słowa starszego brata, acz sam nie był „Biblistą“, postanowił słowo w słowo wykonać jego wolę.

Nie szło mu o to, aby koniecznie mieć za żonę niewiastę „biblijną“, ale taką, któraby mu się *spodobowała*, bodajby nie była kniaziówną.

Książę Iwon z natury był „poetą“, choć wcale sam o tem nie wiedział, a to dlatego *nie wiedział*, iż zwykł był uważać poetów, jako ludzi bezczynnych, marzycieli, co w tęsknocie udanej lub prawdziwej spędzają swój żywot.

Jedyna rzecz, co zdradzała poetyczny nastrój ducha kniazia Iwona, to jego wielkie zamiłowanie w „*Skazkach ludowych*“, w dumkach i w śpiewie dziewcząt wiejskich.

Nieraz dopótna w noc siedział, zasłuchany: jak dziewczuchy, wracające z pańszczyzny, wywodziły żałośnie swoje piosenki gminne.

Jakie to ładne, — powtarzał w duchu, choć brat Bazyli uważa to za głupstwo.

Książę Iwon posiadał wszystkie przymioty dzielnego rycerza: śmiały, odważny, nieustraszony, gotów do wszelkich poświęceń dla prawdy obywatelskiej; wszelakoż miał on jedną wadę: lubił się zatapiać w dumaniach. Dumania jego nie sięgały sfer

rycznych światów, nie błakał się po obłokach, nie wyszukiwał aniołów, by ich ukochać—o nie!—on był „poetą realistą”—że się tak śmiemy wyrazić—on pragnął dla wszystkich dobra, bytu, szczęścia, pokoju, a potem: „skazek i dumek”.

A gdy mu mądry brat Bazyli czytał *Proverbia Salomonis*, książę Iwon najczęściej drzemał, bo jakoś to było za mądre dla niego.

— Co Salomon, to Salomon, — powtarzał sobie w duchu—ja nim nigdy nie będę. Owoż, jako to się zdarzyło, iż książę Iwon ożenił się — zaraz opowiemy:

Pewnego dnia, książę Bazyli, rozczytany w Biblii do szpiku kości, przywołał młodszego brata i rzekł uroczyście:

— Cóż, miły bracie, czy namyśliłeś się rozplodnić nasienie rodu twojego?

— A, no, mogę to zrobić — jeśli jest w tem konieczna wola miłego brata, lecz dotąd nie mam jeszcze wcale bogdanki.

— Boś jej nie szukał, i nie starał się wyszukać, nie idzie zatem byś *gwaltownie* pragnął pojąć za żonę tę lub ową pannę; boć i Salomon mówi: „Mądry się boi, i odstępkuje od złego, a głupi dociera i śmiały jest.”

— Więc, jakoż sobie począć,—odparł skromnie młodszemu brat, by i mądrym być, który się „boi” i nie być głupim, który „dociera”? Wytlómaczcie to mi, miły bracie, wy co tak jesteście mocni w przypowieściach króla Salomona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ANTONI MALCZESKI

przez

Władysława Chodzkiewicza.

(Dokończenie).

IV.

Znalazły się umysły, które nie zrozumiały ani znaczenia Malczeskiego, ani stanowiska, jakie on zajmuje w naszej literaturze, ani nawet nie pojęły głównych chociażby tylko piękności poematu. Dla tych daremne są wszelkie wywody i próżne byłyby usiłowania, aby sprostować sądy ich opaczne; dla tych, jak dla generała Żałuskiego, Malczeski jest niepoprawnym i niewyrobionym, dla innych, grzeszy brakiem osnowy i „rozporządzenia”. Są wręcz i tacy, dla których język Malczeskiego nie może być uważany za wzór polszczyzny. Codo tych ostatniel., zważywszy, jakim-to są pisane językiem te ich głębokie i rozumne krytyki, — jedno tylko powiedzieć zostaje: Odpuść im Panie! bo nie wiedzą co czynią...

Są inni jeszcze, a w ich liczbie szanowny Wójcicki, co idąc trochę pośpiesznie za wzmianką bez żadnej zasady, która się znajduje w podanym już wyżej ⁽¹⁾ liście pani Rucińskiej, utrzymują: „jakoby zażyłość Malczeskiego z Byronem została wyraźne ślady w utworze *Maryi*, a których żaden z krytyków naszych nie umiał wytłómaczyć” ⁽²⁾.

Nie mniej zasadnego być nie może, niż zdanie tego rodzaju. Nie mamy żadnego na to dowodu, aby Malczeski miał wielką zażyłość z Byronem. Dodać jeszcze potrzeba, że Anglik z nikim, oprócz dwóch czy trzech osób, nie miał bliższej i poufalej znajomości. Jak to wiadomo całemu światu, lord Byron był dumny, kapryśny, drażliwy, i więcej szukał towarzystwa kobiet niż mężczyzn. Jak nam to podaje naoczny świadek, pan John Galt, jeden z jego najlepszych biografów, to unikanie wszelkiego stosunku z obcymi Byron praktykował właśnie szczególniejszym sposobem w czasie swojego pobytu w Wenecyi. — Ale przypuśćmy nawet, że znał Malczeskiego, nie dowodzi to jeszcze ani ich

zażyłości, ani takich stosunków, aby osobiscie miał nań wywierać jakieś szczególne a wielkie wpływy. Zresztą Malczeski był tak bogatą i silną osobistością, iż raczej wywierał wpływ na innych niżby miał sam wpływowi ich ulegać.

Co zaś do tego wrażenia, jakie dzieło i geniusz Byrona mogły być wywrzeć na umysł młodego poety,—łatwo to zgadnąć i ocenić. Malczeski, jak każdy, kto czyta w oryginale i rozumie Byrona, musiał być przejęty prawdziwym zachwytem dla świetnych przymiotów tak znakomitego pisarza i tak wielkiego poety, i że utwory angielskiego lorda, które szczególnie wóczas były taką nowością, Malczeski czytał z zamięłowaniem, z rozkoszą, z zachwytem—temu nikt nie przeczy. Ale, aby przypisać Byronowi, czy jego poezjom, wpływ na Malczeskiego taki, iżby ten odbił się i zostawił ślad swój w utworze *Maryi*, na to potrzeba wyjaśnić naprzód jakie są główne znamiona i jakie przymioty i wady, które genjusz angielskiego poety różni się od innych.

Co stanowi wyłączną cechę poezyi Byrona i jego prawdziwą oryginalność? Oto straszne i ostateczne zwątpienie duszy, zranionej i dotkniętej w najświętszych uczuciach, w tem mianowicie, co poeta uważał za krwawą i największą znieprawę: niesprawiedliwością względem niego opinii publicznej w Anglii. Raz opuściwszy kraj, zdaje się, że zerwał już z całym społeczeństwem. Protestant sam pisał o sobie: „I am myself a moderate Presbyterian” ⁽¹⁾; przez dumę wyrzekł się wszelkiej wiary i wszelkiego uczucia, któreby go mogło przejednać i sprowadzić na drogę zapomnienia i miłosierdzia.

Zwątpienie więc o sprawiedliwości ludzkiej; zupełny brak wiary w miłosierdzie Boże; otwarty bunt przeciw wszystkiemu, co jest porządkiem i prawem; puszczenie wodzów namiętnościom: oto są zasady jego życia w ostatnich latach tułania się po Włoszech i po Wschodzie, i taki też jest kierunek wszystkich jego utworów. Dodajmy tylko, że smutny ten i przerażający stan umysłu umiał okupić wielki poeta prawdziwą genialnością w tworzeniu i niezmiernym blaskiem wyrażenia.

Całej tej ujemności ducha, tego zapadnięcia pod poziom równowagi i światłości etycznej nie znajdujemy ani w życiu, ani w poemacie Malczeskiego. Owszem, zamiast zwątpienia i niewiary spotykamy tu gorącą wiarę i najczulszą miłość. Zamiast owego dzikiego rokoszu i owej nieprzebranej buty, widzimy tu miłość ojczyzny, przywiązanie do kraju i do wszystkiego, co rodzinne,—wyrażone z głębokiem, u mało którego z poetów stwierdzić się dającym uczuciem.

Nakoniec każdy z utworów Byrona jestto czysty płód jego rozbujalej, ognistej imaginacyi. Bohaterowie i bohaterki jego poematów, nawet gdy je brał z historii, są to ludzie nie z tego świata: pół-wschodni, pół-dzicy; życie ich jest to płomień, co pożera i niszczy. Wszędzie i zawsze walka, wszędzie i zawsze krew i morderstwo; a jeśli poeta odetchnie czasem, to chyba w ostatnim znużeniu zmysłowej rozkoszy.

Jaki jest przedmiot *Maryi*? Widzieliśmy to w powyższym rozbiórce poematu i zbytby było rzecz dowodzić tu jeszcze: jak odmiennym, jak niepodobnym do utworów Byrona jest poemat Malczeskiego. Ze znakomitszych a współczesnych Byronowi poematów polskich jeden jest tylko, który autor jego chciał postawić i postawił na równi z najlepszymi utworami Byrona: *Konrad Wallenrod*. Ale i ten nie stanowi ani naśladowania, ani czystego odbicia wpływów Byrona. Jest to poprostu dzieło mistrza, którego zalety i wartość w niczem nie ustępują zaletom i wartości dziełom drugiego mistrza, chociaż obaj jedną i tą samą drogą dążyli do wspólnego celu.

W rozbiórce *Maryi* staraliśmy się wytłómaczyć dostatecznie co jest głównym, wyłącznym i samemu tylko Malczeskiemu właściwym przymiotem naszego poety? Powiedzieliśmy tam, że jest to mianowicie uczucie głębokiej rzewności. Był-to przymiot wrodzony poecie, jego własny; poeta nikogo w rzewności nie naśladował i nikt też go naśladować nie mógł i nie potrafił. Ale sam tylko przy-

miot rzewności nie wystarczyłby do zapanowania w dziedzinie sztuki; a więc Malczeski miał przytem jeszcze pewne sposoby sobie tylko właściwe, za pomocą których potrafił wyrazić to uczucie z tak wielką siłą, z takim urokiem podbijającym duszę. Sposoby te są to pewne formy, pewne obroty języka. Sam język, zdaje się, że nigdzie dobrowolnie nie służył poecie, ale złamany, skruszony, silny, żelazną ujętą ręką, jakgdyby język Dantego, wytwarza na koniec to, czego pragnie, do czego dąży natężeniem. Jak na palecie malarskiej tak pod piórem Malczeskiego pewne barwy panują przeważnie, pewne części mowy powtarzają się z namysłem. Jak znane są w malarstwie naprzykład: zielony kolor Tycjana, żółty Correggia i t. d., tak w poezyi polskiej możnaby sprawiedliwie powiedzieć, że umiejętne a częste użycie przymiotników i przysłówków jest Malczeskiego własnością. Nikt rzeczywiście tak często i tak trafnie nie używał jeszcze u nas tych dwóch części mowy, jak autor *Maryi*. A jaki blask i jaką siłę wyrażenia otrzymuje w ten sposób Malczeski! —łatwo to znaleźć na każdej karcie jego poematu.

Zbyteczną byłoby rzeczą gromadzić tu dowody, w jaki sposób Malczeski używa tych obrotów mowy; widzieliśmy to już nawet w dopiero-co przytoczonych ustępach. Zresztą, jeśli są one przykładem, jak umiał i potrafił władać swym językiem, ten przykład nikomu innemu posłużyć nie może. Jak czystość wysłowienia jest przymiotem Mickiewicza, jak śpiewność rytmu, śpiewność grecka prawie, należy się Bohdanowi Zaleskiemu, tak ów szczególny obrót wyrażenia jest znamieniem wyłącznym Malczeskiego. Właściwość ta, trudniejsza i rzadsza niż powyższe przymioty dwóch naszych pierwszych poetów, naśladowana być nie może dla tego jeszcze, iż ściśle i bezpośrednio się łączy nie tylko z myślą, ale i z uczuciem twórcy.

Malczeski ma inną jeszcze, nieocenioną zasługę, ważniejszą dziś i rzadszą niż dawniej: tę, że zawsze i wszędzie używał właściwego, czysto-polskiego wyrazu. Dziś wiecznie śpieszące się, powierzchowne, niewybredne dziennikarstwo namnożyło wyrazów bez końca... ale czytając tę fantastyczną prozę nieraz zapytać się potrzeba: jakim to jest pisane językiem? Stare wyrazy, uważając za stare graty, nowi płodniejsi a popularniejsi pisarze albo rozmyślnie zarzucają, nierozumiejąc prawdziwego ich znaczenia, albo patrzą na nie jak na nieodgadnione dziwolagi; o największej liczbie nawet nie wiedzą; szukają nowych, czepiają się obcych i tworzą jakiś szwargot, zapowiadający, prawdziwie, nowe chyba pomieszanie języków przy budowie wieży w Babel. Malczeski inaczej sobie poczynił. Wierny rodzinnej mowie, zamięłowany we własnym, ojczystym języku, zawsze znajduje pod ręką stary, poczciwy, czysty jak złoto, wyraz, a wyraz ten, użyty właściwie i w miejscu, daje niesłychany smak i siłę wierszowi. Nie gardził on nawet powszedniej mowy wyobrażeniem, przyjmował je z ochotą, używał go trafnie, a zawsze i wszędzie tak się urządzał, aby raz napisany wyraz żadnym innym zastąpiony być nie mógł.

Na tem kończymy przegląd życia i poematu Malczeskiego. Było to przeznaczeniem jego żyć i umierać w cierpieniu i w zapomnieniu powszechnem. Współcześni go nie rozumieli, — a usiłowaliśmy wyjaśnić dlaczego nie należy dziwić się temu. Jedna rzecz tylko jeszcze uderzyć nas powinna: że po tylu latach, po tylu wydaniach *Maryi*, ani jedno nie znalazło się jeszcze wydanie, gdzieby omyłki drukarskie nie brudziły każdej prawie kartki tego arecydiele. Wiele z nich jest tego rodzaju, iż mniej wprawny czytelnik może je łatwo poczytać za niepoprawność samego autora — jest to prawdziwa hańba.

Poezi tacy jak Malczeski są to jakby świeczniki, przy blasku których narody całe idą ku tej przyszłości, jaką im Bóg przeznaczył; trwają więc oni póty, póki trwa naród, a po jego śmierci świadczą o jego przeszłości i życiu. Póty więc, póki naród żyje; póty, póki żelaznym słupem stoi przy swej wierze; póty, póki czci i słucha swych wieszczów: póty wrota dziejów przed nim otwarte. Bo wieszczowie ci zdolni są, jak mówił Mickiewicz, dopełnić czasem prawdziwego cndu, wskrzeszając postacie zmarłe i przelewając własne ognie w piersi słuchaczy, iż;

⁽¹⁾ Ob. N. 36 Bl. z r. h.

⁽²⁾ *Cmentarz Półn.*, T. I, str. 46.

⁽¹⁾ Cado mnie, jestem bardzo umiarkowanym prezbiterianinem,

Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta doleci,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy;
I chwilę jedną tak górnio przeżyli,
Jak ich przodkowie — niegdyś całe życie...

Szanujmy więc i chowajmy pamięć takich jak
Małcheski poetów. Pieśni ich to są one wiecznie
żyjące wieści, o których powiedział nasz Adam:

O! wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszy laty;
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.
Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny lud twój nie znieważy —
O! pieśni gminna, — ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła;
Z archanielskimi skrzydłami i głosem,
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła!

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Debiuty wogóle — debiuty panny Czaki i pani Lebrun.

Czy scena nasza potrzebuje odżywienia, odświeżenia, wzmocnienia sił artystycznych?

Najwięksi optymiści dziś już nie odpowiedzą przecząco. Ilekroć przychodzi zdać sprawę z jakiego przedstawienia, tylekroć chwali się zawsze tych kilku znakomitszych i znakomitych, na których scena warszawska opiera się od lat kilkudziesięciu i kilkunastu, a o reszcie albo się milczy, albo się mówi z naganą i z ubolewaniem. Zwłaszcza gdy chodzi o *całość* sztuki, nagana stać się musi nader ostrą, lecz i najzupełniej sprawiedliwą. Tej całości bowiem, nie jest w możności dać nam dzisiaj scena warszawska, z tej prostej przyczyny, że napływające siły okazują się wprost niedołężnymi. Najlepszy zaś kierunek artystyczny nie poradzi nic, gdy niema surowego choćby, ale odpowiedniego materiału.

Jakie na to środki, jaka na to rada?

Szkoła dramatyczna i debiuty.

Codo pierwszej, założonej świeżo przez p. Derzyńskiego, nie mamy żadnego zdania, albowiem w *najlepszym* razie, możemy się z niej doczekać pociechy zaledwo za lat kilka, — wreszcie i z dawnej szkoły dramatycznej niewiele pożytku przyrosło scenie warszawskiej, choć professorami byli tacy zdolni i specjalnie wykształceni ludzie jak s. p. Chęciński albo p. Krasiński.

Zatem scena na późniejszy możliwy przypływ ze szkoły dramatycznej liczyć tylko może; a tymczasem potrzebuje ona już obecnie jaknajrychlejszego i najenergiczniejszego wzmocnienia.

Niejednokrotnie pisaliśmy na tem miejscu o konieczności zdawania ról w ważnych lub mających powodzenie sztukach, już nawet dla tego, że bardzo często, z przyczyny choroby najpodrzedniejszego aktora lub aktorki, sztuka zostaje zawieszona, — publiczność niema poco chodzić do teatru, a reżysseryja nie wie jak sobie radzić. Do takiego zdawania potrzeba znaczniejszej liczby aktorów aniżeli są dzisiaj; a cóż tu dopiero mówić o koniecznej emulacji, będącej podstawą wyrabiania się poczynających artystów, a dokonywającej się właśnie najskuteczniej przez systematyczne zdawanie?

Pozostają przeto jedynie debiuty, których też jedynym celem, gdy się odbywają na scenie warszawskiej, powinno być, nie zadowolenie miłośców własnej debiutantów, ale sprawdzenie: czy z nich jakiś realny pożytek nie da się wyciągnąć?

Dotychczas wszakże uważaliśmy, że stawiano inną zasadę dla debiutów; pozwalano bowiem na nie dosyć łaskawie i łatwo, jakgdyby ulegając prośbom, i zazwyczaj pokazywało się, że stosowniejszą byłaby surowość.

Ze wszystkich bowiem debiutujących tu od lat dziesięciu, wybrano zaledwo kilku, a jeszcze wybór ten okazał się najniefortunniejszym. Scena bowiem warszawska siłą podrzednych, czyli trzeciorzęd-

nych, ma do zbytku; pracą ich obciąża budżet zupełnie bezowocnie: gdy przeciwnie, sił drugorzędnych, a nawet już tylko sił tak zwanych „pożytecznych“ nie mamy prawie wcale.

Dwie ostateczności widzimy ciągle: znakomitości pierwszorzędne którym trudno kłaść wszystko na barki — i trzeciorzędne, a raczej ostatniorzędne, które się stale przyczynają do zepsucia każdej sztuki.

Potrzeba więc bezwarunkowo utrzymać zasadę debiutów, ale z tą stanowczą oględnością, że się jedynie pozwoli występować takim aktorom i aktorkom, które zdadzą examen przed całą publicznością z przyszłej swojej dla sceny użyteczności. Debiut też powinien być *examenem* — powtarzamy ten wyraz — przed którym odbył się *examen* przedwstępny, wobec reżysseryi czy dyrekeyi.

Z tą już zapewne myślą pozwolono na występy panny Czaki i pani Lebrun.

Widzieliśmy pannę Czaki trzy razy. Pierwszy występ w „Zbudziło się w niej serce“ był dla niej ciężką próbą, bo miała do zwalczania przypomnienia znakomitej gry panny Popielówny w tej roli. Swobodniejszą mogła już być w „Teatrze amatorskim“, a najswobodniejszą mogła być, i była, w „Radeach pana radcy“.

Jakkolwiek wszystkie te trzy rolki są naiwne, pierwsza tylko z bardzo lekkim odcieniem liryzmu; jakkolwiek z wyjątkiem „Zbudziło się w niej serce“ niedosyć tu pola miała debiutantka do okazania wszechstronnej swych zdolności naturalnych i nabytych: przecież nie wahamy się twierdzić, że panna Czaki jest w całym znaczeniu tego słowa uzdolnioną artystką, której przyszłość, przy kształceniu się pracowitem, przepowiedzieć można na pewno. Nie powiemy tylko, iżby „naiwny rodzaj“ był wyłącznym jej polem — owszem, lekki dramat i wyższa komedia będą dla niej najodpowiedniejszą w przyszłości areną.

Dyrekeya więc tym razem nie pomyliła się w wyborze.

Nie powiemy tego o pani Lebrun, którą widzieliśmy w „Montjoje“. Mniejsza o to, że sama już jej postawa i fizyognomia, nie nadają się do tej roli, która przez 3 akty musi być najszczerzej naiwną, ale co nas najbardziej raziło i zraziło, to jej sztuczność, to jej *granie*, — to mechaniczność wyuczenia się tylko ruchów i mimiki, a ani odrobiny natury i prawdy. Panna Czaki, mimo niewyrobieńia środków technicznych, odznacza się właśnie owym wdziękiem naturalnym, ową prawdą instynktowną, która pozwala wróżyć o jej przyszłości i o jej niezaprzeczonych zdolnościach. Pani Lebrun, przeciwnie, nie dała nam ani jednego momentu, w którymbyśmy zawołać mogli, mimowoli porwani: „To szczerze, to prawdziwie!“ Przeciwnie — wszystko, mimo, że nader starannie wystudyowane, rozgrywało się z jakąś wyuczoną rutyną, która sprawiała niesmak.

Publiczność też zachowała się zimno i obojętnie.

Nie chcemy dyktować Dyrekeyi planu postępowania, dziwić nas jednak musi, że panny Czaki nie przyjęto, a panią Lebrun podobno stanowczo przyjęć mają.

E. Lubowski.

RODZ MUZYCZNY.

Nowe nuty i książki muzyczne.

(Dalszy ciąg).

XIV. *Głos, ucho i muzyka*. — Rozprawa Augusta Laugel'a. Przetłómaczona i uzupełniona przez Felicyą Bakszewicz. Kraków 1876 r.

Jesteśmy jednego zdania z autorką tłumaczenia, że wobec wielkiego („prerażającego“) jak mó-

wi pani B.) u nas ubóstwa dzieł treści muzycznej, rozprawka niniejsza „przychylnie przyjęta zostanie od (!) czytającej publiczności“. Przedmiot opracowany jest popularnie, rzecz napisana jasno, może obudzić zajęcie u ludzi nawet niemuzycznych, tembardziej, że oprócz wielu kwestyj mogących dać powód do rozpraw i sporów, zawiera nadto sprawozdanie z najnowszych odkryć akustycznych Helmholtza. Znakomity ten uczony zajął się między innemi kwestyą *barwy* dźwięku (timbre), której przyczyna dotąd była tajemnicą. Każdemu wiadomo, że tenże sam ton, wzięty na skrzypcach, fortepianie, flecie lub waltorni, posiada zupełnie odrębny charakter, dający się odróżnić z wielką łatwością. Nuta nawet wzięta przez głos tenorowy, kontraltowy lub sopranowy, choć na pozór jedna i ta sama, to jest wywołująca równą liczbę drgnień, brzmi jednak w uchu zupełnie inaczej. Przyczynę tego upatrywano już dawniej, i słusznie, w rozmaitości układu drgających fal powietrza lub strony; dziś ten niejasny ogólnik zyskał, za pośrednictwem studyów Helmholtza, zupełną naukową ścisłość; uczony bowiem heidelberski dowiódł za pomocą stosownych doświadczeń, że różnica w brzmieniu dźwięków jednakowych pochodzi z rozmaitego brzmienia dźwięków im pokrewnych (przytony, *aliquoty*), powstających zawsze przy brzmieniu każdego dźwięku. — Niechcąc w tej chwili wchodzić w bliższe szczegóły, które rozbiierała przez nas książka zawiera, przypomniemy czytelnikowi znane z akustyki prawo, że struna wprowadzona w drganie daje słyszeć naprzód swój głos zasadniczy, pochodzący z jej drgania w całej rozciągłości; następnie oktawę pierwszego tonu, pochodzącą z drgania połowy struny; dalej jej duodecymę (pochodzącą z drgania $\frac{1}{3}$ części struny), drugą oktawę, jej tercya, kwintę, septymę etc. etc. Otóż ten szereg dźwięków mniej więcej wyraźnych, towarzyszących każdemu dźwiękowi, szczególnie silniejszemu, (o czem można się z łatwością przekonać nawet na fortepianie, uderzając mocno jeden z klawiszów bassowych), otacza każdy ton muzyczny pewną jakby atmosferą. Jeżeli w tej atmosferze wyraźniej brzmia dźwięki (przytony) niższe, charakter ogólny tonu będzie miękki; gdy przemagają górne tony, będzie ostrym. Nie bardziej miękiego, nad niektóre ciche nuty waltorni, jak średnie dźwięki fletu, jak większość dźwięków fortepianu; przeciwnie, wrzaskliwe trąby pełno dają górnych tonów; w mniejszym stopniu spotykamy je w skrzypcach, oboju i t. d.

Podobnie jak charakter instrumentów, zbadał Helmholtz i charakter różnych samogłosek, czem nawet dla nauki śpiewu nader cenne pomocnicze dał wskazówki; gdyż, jakkolwiek dobry śpiewak lub śpiewaczka powinien umieć dobrze i jasno śpiewać na różnych samogłoskach, dla początkowej nauki śpiewu nie może być obojętnem, że tony niższe (naprzykład u kontraltu) zgodne są bardziej z brzmieniem samogłoski *u* lub wreszcie *o*, dźwięki zaś sopranowe bardziej podobne są do *a*, i *u* francuzkiego.

Ta zlekka tylko tu naszkicowana część książki jest w niej niezawodnie najciekawszą i najważniejszą; inne rozdziały zawierają rzeczy bardziej znane, lecz niezbędne jako dopełnienie całości. Budowa ucha, wydobywanie głosu i t. d. opracowane są w sposób przystępny i zajmujący — i przetłómaczone przez panią B. z widoczną znajomością rzeczy, o czem świadczą oprócz stylu i jej własne dopiski, szczególnie dłuższa nota między str. 69 i 73.

W rozdziałach o atrybutach muzyki, o *gammach*, jakoteż i w przedmowie, potrącają się ważne pytania dotyczące przyszłości tej sztuki. Zwracamy na te rozdziały również uwagę czytelnika. Niejeden z bardzo wykształconych nawet ludzi uważa to za pewną ujemną stronę muzyki, że jej mowa jest nie dla wszystkich zrozumiałą, i że *idea*, jaką złożył autor w utworze muzycznym, zostaje niejako zamkniętą na siedm apokaliptycznych pieczęci. Taż sama ballada Szopena, taż sama symfonia Beetho-vena może w umyśle różnych słuchaczy stać się powodem do coraz innych (że tak powiem) komentarzy, a nikt z objaśniających w ten sposób kompozycyę nie będzie mógł stanowczo dowiedzieć, że jego *idea* jest najwłaściwszym odbiciem dopiero słyszanej muzyki. Wobec tego niezaprzeczonego

faktu, niektórzy wysocy nawet znawcy muzyki (jak na przykład Hanslick), utrzymują, że w muzyce żadnej idei szukać nie trzeba, prócz *zrecznej kombinacji formy*, i śmieją się z naiwności tych, którzy w muzyce dopatrują się uczuć i doznają przy niej wzruszeń. Z tego samego powodu inni estetycy na seryo rzucają pytanie: czy muzyka *bez słów* istnieje powinna, gdyż słowo dopiero muzykę wyjaśnia (Gervinus w książce: *Händel und Shakespeare*). Książeczka nasza nie rozwiązuje wprawdzie tych ważnych i ciężkich pytań, ale zawsze skłania się do bronięcia muzyki od zarzutów powyżej przytoczonych. Obrona to jednak wogóle zbyt słaba i nie płynąca widocznie ze źródła gorącego przekonania. Naprzykład na str. 76 czytamy:

„Jeżeli więc estetyka w stosownym ugrupowaniu linii lub barw wyrażać może porywy naszych uczuć i szuka zaspokojenia naszego poczucia piękna, *dla czegożby to miało jej uwalniać* (!) gdyby tego samego dokonać chciała za pomocą właściwego kojarzenia dźwięków?”

Jakże dalekimi jeszcze tu jesteśmy od oceny prawdziwego stanowiska muzyki jako sztuki pięknej! Pan Laugel, nieśmiało stanowczo i jawnie postawił boskiej sztuki tonów na właściwym jej piedestale, zaledwie śmie ją bronić przeciw tym, co jej zabraniają stać w przedpokoju świątyni sztuki!! Chciałbym, aby nasz polski czytelnik, tak wrażliwy na nutę muzyki, szczególniejszej i swojskiej, czytając podobne frazesy nie dał się niemi olśnić i nie zapominał o prawdziwych podstawach sądu estetycznego.

Przedewszystkiem nie mówmy już o profanach. Muzyka, lubo rzadziej niż inne sztuki, spotyka się jednak indywidua, które jej wcale nie rozumieją. Ale my artyści, cośmy życie poświęcili dla tej sztuki, spójrzmy w nasze własne serce, i powiedzmy szczerze, czy w muzyce upatrujemy tylko kombinacją *formy*? Czy, prawdę mówiąc, warto-by było życie swe przywiązywać do takiej czezej tylko, bezmyślnej igraszki?

Każda ze sztuk pięknych, działających tak silnie na duszę człowieka, ma swoje odrębne środki, odrębne warunki—każda stanowi jakby osobne państwo, osobną czarowną krainę. Pragnąc ją wyprowadzić z właściwego jej zakresu, błądzimy—pragnąc *à tout prix*, objaśniać jedną sztukę za pośrednictwem innych, nie stajemy na prawdziwym gruncie zapatrywania się. Poezya, używająca niekiedy szat mglistych, ma jednak mimo to treść wyraźnie określoną; malarstwo daje chwilę akcyi, ale ją daje z plastyczną jasnością; rzeźba najbardziej nagim przemawia realizmem (na pozór!)—a w muzyce (bez słów) jakże trudno oznaczyć o co idzie? Na to odpowiem: „bo żadna ze sztuk tak głęboko może nie zajrzać do wnętrza naszej duszy! Podczas gdy inne sztuki w różnych królujących światach, (lubo wszystkie te światy się stykają), muzyka jest ową tajemniczą mową duszy, jest streśczeniem tych różnorodnych uczuć, jakie nami miotają w urczystych i ważnych chwilach życia. Posłuchajmy etiudy *cis moll* (op. 25, N. 7) Szopena. Ileż tam łez, ile rozpacz, ile bólów ziemskich. A ileż pogody i radości w pastoralnej symfonii Beethovena! Tu zbrodnią byłoby powiedzieć, że takie dzieła to *tylko* forma! A dlaczegoż treść ich *cała* tak trudna do objaśnienia?... „Bo są głębokie!” Dusza—to przepaść! Czy ty sam, człowiecze, rozumiesz duszę swoją? czy ją rozumiesz, zwłaszcza w chwilach wzruszeń i podrażnień? Nie, zaiste! Przypomnij tylko sobie co czujesz, czego doznajesz, gdy się kochasz, gdy utracisz drogą osobę, gdy walczysz za świętą sprawę, gdy tęsknisz bez miary? Cóż to się wtenczas z tobą dzieje? „Tysiączne uczucia, jak sam powiadasz, krzyżują się w tobie”. Otóż te tysiączne uczucia wyraża ci muzyka. Ona jest głosem wewnętrznym twej duszy, mówiącym tak wymownie, tak pełnym treści, że go aż wyczytać nie możesz!” Dlatego to ta sztuka, a nie inna, jest twoją najwyższą pocieszycielką; dlatego w pewnych chwilach życia i poeta i malarz i rzeźbiarz pragną uciec się pod jej skrzydła, znaleźć w niej ukojenie i ulgę! Muzyka, — to serce człowieka drgające i żywe — i wy śmiecie jej bronić zaledwie od *uwolnienia* sztuce!!

Inna ciekawa kwestya poruszona jest przy końcu dzieła. Jest to kwestya tak zwanego miarkowania dźwięków, czyli *temperatury* muzycznej, przeciw której powstającego Helmholtza p. Laugel tylko cytuje. Tu odpowiedź da się zawrzeć w kilku słowach.

Przedewszystkiem co jest temperatura? Jest to takie nastroszenie instrumentów klawiszowych, w którym pewne kwinty oddalają się cokolwiek od matematycznej ścisłości. Z tego powodu Helmholtz powstaje przeciw temu urządzeniu, pragnąc powrócić do dźwięków czysto-matematycznych. Marzenie to nie zdaje się mieć za sobą podstawy dostatecznej. Temperatura wprowadzoną właśnie została przy końcu XVII wieku, dlatego, że strojąc naprzykład fortepian za pomocą czystych kwint, psuilibyśmy inne stosunki, i bass z wiolinem zupełnie by się nie zgadzał. Cóż więc uczyniono? Oto poświęcono cokolwiek idealną czystość kwinty, dla otrzymania *całości* muzyki; różnica jaka zachodzi między kwintą temperowaną a matematyczną jest tak drobna, że jej najwprawniejsze ucho nie oeni, a wynosi ona, według słów samego Helmholtza, *jedno wachnienie* na sekundę! Tymczasem pragnąc powrócić do owego idealnego *stanu natury*, Helmholtz zbudował sam dość skomplikowany instrument, coś w rodzaju harmonium, który daje tylko 15 akkordów o tyle czystych, że tercyom nie zarzucić nie można, a kwinty lubo mniej się różnią od naturalnych niż kwinty *miarkowane*, jednak idealnie czystymi nie są! Zbyt mały rezultat przy takiej pracy!!

Innem, nierównie jeszcze ważniejszym następstwem porzucenia temperatury mogłoby być zupełne zarzucenie dzisiejszych podstaw muzyki—wprowadzenie nowych gamm, nad czem się bardzo książeczka Laugela rozwodzi. Cała nasza harmonia polega na temperaturze, naprzykład piękność modulacji, zwanych enharmonicznymi, polega na tem, że ucho nasze prawie za jedno bierze dźwięki takie, jak *fis* i *ges*. Trudno nam dziś na seryo przypuścić, aby chcieli porzucić tak znakomite zdobycze na polu sztuki, dla powrócenia do melodyjnych majaceń greckich lub do systemu ćwier-tonów. Sądzę, że taką myśl mogą podawać tylko dylettanci, uczeni wreszcie,—ale nie muzycy.

Jeszcze dwie uwagi. Helmholtz powiada, że gdy się gra na harmonium w wyższych tonach tercyami, to się tworzy trzeci ton *kombinacyjny* (niższy od nich), bardzo dla ucha przykry. To prawda, ale to nie jest winą temperatury. W duetach wokalnych, w kadencyach na dwa głosy żeńskie, *bez akkompaniamentu*, nieraz słyszałem owe tony kombinacyjne, wytworzone przez głos ludzki, zatem przez instrument najdoskonalszy, a tak nieznośne zbliżka, że osobie siedzącej wówczas przy fortepianie niepodobna prawie wytrzymać.

Najlepiej na te zarzuty Helmholtza odpowiada *Hans Schmidt* w dziełku, o którym zaraz mówić będziemy; zwraca on uwagę na to, że *temperatura* bynajmniej nie niszczy pokrewieństwa między strunami, o czem najdokładniej przekonywa ta okoliczność, że struna np. bassowa w fortepianie, wytrzymana długo, pobudza do drgania wszystkie inne struny w naturalnym porządku z nią spokrewnione,—jeżeli więc, powiada on, struny *nie widzą wielkiej różnicy* między systematem miarkowanym a naturalnym, — dlaczegoż my na nią mamy być tak drażliwymi?

Język tłumaczenia jest wogóle bardzo dobry, nie podoba nam się tylko zbyt częste i niezbyt właściwe używanie słówka *doprawdy* (np. Gamma w muzyce jest *doprawdy* tem, co konstellacye w astronomii). Sestę niepotrzebnie autorka tytułuje wszędzie *Syxta*. Innych parę drobnych usterk pomijam — i raz jeszcze gorąco polecam ciekawą tę książeczkę czytelnikom muzycznym.

XV) *Das Pedal des Clavieres*. Wien 1875, p. Hansa Schmidt: Dziełko to jest uzupełnieniem i rozszerzeniem czterech prelekcji, wygłoszonych przez autora w Konserwatorium Wiedeńskim. Jest ono, mimo niektórych błędnych spostrzeżeń w całym znaczeniu tego wyrażu znakomite i wielce użyteczne. Dwie rzeczy w niem są najpożyteczniejsze: *primo* cała teoria używania *chwilowego* pedału pełna niewyczerpanego bogactwa szczegółów; *secundo*,

wykazanie łączności, jaka tu zachodzi między akustyką i estetyką. Pedał bowiem wprowadza właśnie w drganie pokrewne struny (co bardzo pięknymi przykładami popiera Schmidt), i ztąd jego racjonalne użycie nieskończenie podnosi urok gry fortepianowej. Śmiało powiemy, że każdy kto pragnie dobrze używać pedału, powinien z uwagą kilkakrotnie przeczytać dziełko powyższe, a następnie studyować etiudy na pedał Köhlera (Technische Künstler-Studien op. 147), gdzie znajdzie najdokładniejsze i obszerne zastosowanie wszystkich praw pedału. Warto, aby tak pożyteczne dzieło zostało jaknajprędzej przełożone na język polski.

XVI) *Elementarna teoria muzyki*, przez Artura Pitschmanna. Warszawa 1876. Rzecz napisana treściwie i poprawnie, może być przydatną przy nauce, jako wskazówka dla nauczyciela. Uczeń sam może-by nie zawsze mógł z tej książki korzystać, styl jej bowiem jest miejscami za poważny; pisane to jest nie dla maluczkich, co nie umieją, ale dla tych, którym rzecz już nie jest obcą. Jako dowód posłużyć może, między innymi, początek str. 27. Sądzę, że tu nie nie brakuje z rozdziałów, które do elementarnej nauki muzyki należą; niektóre jednak części są opracowane zanadto pobieżnie. Tu zaliczamy rozdziały: „O podziale nut troistym” i „O transpozycyi”. Rzecz o „akcencie” wyłożona jest jasno i oryginalnie.

Na niektóre szczegóły nie zgadzam się, a mianowicie:

Na str. 54 powiedziano, że „nuty troistego podziału nie dzielą się na trzy”. Tymczasem podział taki nieraz w muzyce spotykamy ⁽¹⁾, zresztą takt $\frac{3}{16}$ z takiego właśnie podziału wynika ⁽²⁾.

Na str. 60 mówi autor, że znak chromatyczny ma władzę na cały takt „dla wszystkich nut tegoż samego stopnia, nawet w oktawie”. W praktyce jednak dzieje się inaczej, izwykle przed nutą w innej oktawie stojącą kładzie się nowy znak.

Na str. 65: „Tryl powinien być poprzedzony appoggiaturą (*niezawsze!*) i zakończony rodzajem grupetto. Tu zresztą stałych reguł niema; zakończenie trylu najczęściej pozostawia się do woli i smaku wykonawcy”. Przeciw temu protestujemy; reguła dla zakończenia trylu jest bardzo stałą, i kilka wyjątkowych wypadków (jak tryl łańcuchowy) [Kettentriller] etc.) należało przytoczyć.

Dwa wyrażenia cudzoziemskie w dziełku należałoby zmienić: „pięciolinijna systema” na pięciolinijny *systemat*, oraz *Grund-ton* na „ton zasadniczy”.

XVII) *Musikalische Gymnastik* von Stanislas Freiherrn v. Lesser. Leipzig 1877. Dziełko to napisane przez Warszawianina podwójnie nas może interesować. Jest ono dalszem rozwinięciem idei, poruszanej już lat temu 12 w dziełku podobnej treści napisanem przez Jacksona (Finger und Handgelenkgymnastik, Lipsk 1866 r.). Oba te dziełka z jednej wychodzą zasady, a mianowicie: że do wyrobienia mechanizmu na każdym instrumencie, a szczególnie na fortepianie, niezbędnymi są, oprócz ćwiczeń na instrumencie samym, jeszcze różne przygotowane ruchy i wyłamywania palców. Dotychczasowe wprawdzie rozwinięcie znakomite mechanizmu np. fortepianowego, *bez pomocy* sztucznej gimnastyki, zdaje się podawać w wątpliwość konieczność podobnego środka. Liszt, Thalberg, Tausig etc., oile wiemy, wykształcili się bez tej pomocy; Schumann zaś wskutek *gimnastyki* obezwładnił sobie zupełnie trzeci palec lewej ręki, i nie mógł już grywać; — wszystkie zresztą *Daktyliony* i inne maszyny ku udrczeniu palców komponowane, oddawna, jako, nie tylko niepraktyczne, ale i szkodliwe, zarzuconemi zostały. Ale autorowie wspomnianych teraz dzieł zasłaniają się przeciw zarzutom różnemi nader zajmującymi uwagami.

I tak: Jackson przedewszystkiem stawia tu istotnie postępową w ogólnej gimnastyce zasadę, że ćwiczeń *forsujących* unikać należy; słusznie więc przyznać trzeba, że postawienie tej zasady, jak

(1) Np. w „Pieśni bez słów” Mendelssohna zwanej *Duetto*.

(2) Ob. ostatnią sonatę Beethovena na fortepian (*Arietta*).

i sposób, którym on ją stosuje, czyni jego spostrzeżenia i rady stokroć racjonalniejszymi od takiego np. Daktyliona Herza, opartego głównie na wysileniu. Radzi on bowiem trzy razy dziennie, po kilka minut (najwyżej do 10-ciu) przed graniem, ruszać palcami w powietrzu w różne strony (według rysunku) lub bębnić tryla po kiju wyśląbianym umyślnie nakształt klawiatury; zaś p. Lesser, który uważa swą książeczkę tylko jako dalsze i dokładniejsze rozwinięcie dziełka Jacksona, nie ma niejako pretensyi reformowania podstaw mechanizmu, ale zaręcza, że przez taką palcową gimnastykę oszczędzi się znakomicie czas, zwykłe do zdobycia mechanizmu potrzebny. Byłaby to wistocie korzyść znakomita. Nie jestem w możności wydać o tych ćwiczeniach stanowczego wyroku; nie miałem chęci probowania ich na sobie, a tem mniej miałbym odwagi robić takie doświadczenia z memi uczniami: ale wyznaję, że jedna ważna okoliczność wpływa na moje cokolwiek sceptyczne zapatrywanie się w tej mierze, a mianowicie, że jakkolwiek p. Jackson przed wydrukowaniem swej książki potrafił uzyskać od najznamienitszych wirtuozów i profesorów (Moscheles, Taubert, Hiller, Kullak etc.) zaświadczenia, mniej więcej podobnie brzmiące, że „myśli wynurzone w dziełku są bardzo piękne i ciekawe, i że *prawdopodobnie* w praktyce okaza się znakomitą”, dotąd jednak pomimo upłynionych lat 12, żadne konserwatorium, o ile mi wiadomo, nie uczyniło z tej gimnastyki palcowej podstaw kształcenia mechanizmu. Należałoby tu widzieć przykłady — a tych, bodaj sami autorowie dzieł powyższych, nawet na sobie nie są w stanie przedstawić. Jackson był dyletantem, który mając już lat blisko 50, zaczął się bawić tą gimnastyką, i, jak powiada, wielkie uczynił jakoby postępy w grze na skrzypcach — ale to doświadczenie nader niedostateczne i przez nikogo nie sprawdzone; zaś p. Lesser jest wybornym wirtuozem na klawecie, ale podobno nabył mechanizmu bez pomocy trylów na kiju, które swoim kolegom klarynecistom radzi. Sądzę więc, że tu czas chyba tę dość wątpliwą kwestyę rozstrzygnąć może — codo mnie, otwarcie mówię, że do doświadczeń na większą skalę nie czuję odwagi, jakkolwiek mimo mego wstrętu do wszelkich tego rodzaju maszyneryj, sądząc, że przy bardzo ostrożnem ich użyciu niektóre ruchy, a nawet niektóre przyrządy pomysłu pana Lessera mogą mieć zastosowanie. Naprzykład strzeżenie lekkie całą ręką kilka razy w knykcii może być pożytecznem przed graniem oktaw lub staccata; dla małych rąk możnaby stosować, ale z wielką ostrożnością, maszynkę do rozszerzania palców... ale są to środki ryzykowne i wolałbym zamiast tego (co też czynię) wynajdywać w takich razach stosowne ćwiczenia na instrumencie. Najbardziej pożytecznem dla gry organowej są ćwiczenia nogą, mogące posłużyć do używania pedału, — szczególnie dlatego można je polecać bez obawy, że tu właściwie są potrzebne tylko dwa lub trzy ruchy, nie skomplikowane i niemęczące dla członka tak silnego jak noga; ale owe ruchy szczegółowe, wykonywane członkami tak delikatnymi jak palec, lub nawet pojedynczymi *stawami* tychże palców, wydają mi się rzeczywiście niebezpiecznymi z tego względu, że nawet przy największej ostrożności można łatwo przekroczyć właściwą granicę i spowodować wysilenie i osłabienie palca jednego lub kilku.

XVIII) *Le piano à doubles claviers renversés* przez Zarebskiego. Znakomity wirtuoz, który sam sobie i nowemu wynalazkowi tak rozgłosną zyskał sławę na Wystawie Paryzkiej, skreślił w tej broszurce (jak się łatwo domyśleć można) apologią swego instrumentu, podniósł prawie jego wynalazek do znaczenia epoki w historii fortepianu. Liszt miał jakoby powiedzieć, że „fortepian pojedynczy już nie ma przyszłości, potrzeba czegoś już więcej”. Gounod po pierwszym koncercie p. Zarebskiego na owych fortepianach z fabryki pp. Mangeot miał wyrzec: „ce n'est pas un progrès, c'est une Révolution” — mimo te wszystkie i różne inne przesadne pochwalne wersje — każdy z muzyków przyzna, że nowości tak wielkiej pod względem pomysłów do kompozycji tu być nie może, *bo muzyka na dwa fortepiany już oddawna istnieje*.

Że dla wirtuozów pragnących wykazać swą bravurę, wydobyć efektu *czterech jakoby rąk razem grających* (jakie zresztą spotykaliśmy już w układzie

dwuręcznym symfonii Beethovena przez Liszta, lub Andante z koncertu Henselta) taki podwójny fortepian przedstawi pole do nader świetnych kombinacji, to nie ulega wątpliwości. Pan Zarebski trafnie wybranymi przykładami wykazuje, jakie mianowicie specjalne efekta tu wywołane być mogą, jakie akkordy, wprzód niemożliwe, można brać razem jedną ręką, łącząc dwie klawiatury (gdyż basowa oktawa zwana *matą*, leży nad wiolinową dwukreślną i odwrotnie) jakie passáže nabierają tu więcej świetności, jakie znów lepiej brzmią (do takich należy gamma chromatyczna oktawa, brana naprzemian prawą i lewą ręką) i t. d.

Dla wyrobienia mechanizmu lewej ręki, jej lekkości etc. taki układ jest wyborny, bo naprzód pozwala jej studyować zupełnie dokładnie wszelkie passáže, dla prawej ręki pisane; a powtóre, usuwa tę niegodność istotnie ważną w naszym fortepianie, że lewa ręka, która z natury swej jest słabszą, ma jednak do pokonywania daleko cięższy opór w klawiszach niż ręka prawa. Pod względem studyów będzie to więc wynalazek znamenity; co się zaś tyczy środków, jakie ten instrument dostarczy dla kompozycji, zdawałoby mi się, że najpożyteczniejszym będzie on do wszelkich układów, potpourris i transskrypcyj.

Wszystkie te drobne zastrzeżenia nie przeszkadzają nam uważać tego wynalazku za ważny i pragnąć, byśmy go tu w Warszawie usłyszeć mogli, to jest, aby pan Zarebski, o którego przybyciu do nas uczyniła pisać dzienniki, zechciał sprowadzić ze sobą taki fortepian i na nim dać nam parę koncertów. Byłaby to dla nas prawdziwa uroczystość, powitać naszego rodaka po jego tryumfach zagranicznych i okazać mu, że go równie, a raczej bardziej obcych, cenimy i uwielbiamy.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

W dopełnieniu tego, co paryzki nasz korespondent podał o angielskich wyższych szkołach dla dziewcząt, zamieszczamy tu wiadomość o podobnej szkole w Szkocyi, w Edynburgu, pod bokiem miejscowego uniwersytetu istniejącej „St. Andrews-school for girls”. Szkoła zaczęła właśnie z dniem 1 Października drugi rok istnienia, jest ona zakładem prywatnym, z rządową jedynie radą nadzorczą, a cała drużyna szkolna składa się wyłącznie z kobiet, między którymi znajdują się i nauczycielki cudzoziemskie. Examina odbyte w Lipcu przez egzaminatorów z urzędu oświecenia publicznego wykazały, że szkoła uzdalnia uczennice swoje do studyów uniwersyteckich i pozwala im przebyć examina, jakie przy wejściu do uniwersytetu londyńskiego na matrykulację są wymagane. Jednym ze szczególnych względów szkoły jest wielka uwaga zwrócona na stronę wychowania fizycznego, mając to na celu, aby dziewczę pracujące umysłem nad nauką wyższego już stopnia, nie nędziało fizycznie, a przeciwnie, rozwój dorastającego organizmu odbywał się zdrowo, przy pomocy dobrze obmyślanych potemu środków. Uczennice posiadają też odpowiednio urządzonego zakład gimnastyczny, i mają zapewniony sobie ruch na wolnym powietrzu: ruch swobodny, z wesołemi grami złączony. W kierunku naukowym przyjęta została metoda, aby wykształcenie było mniej obszerne, przez zakres nabywanej wiedzy, a więcej formalne, wyższe władze umysłu rozwijające, wyższą inteligencyą dziewczęcia budzące. Rok jeden istnienia szkoły tak ją dobrze publiczności zalecił, że uczennice przybywają jej ze stron dalszych — z Anglii. W chwili otwarcia, d. 1 Października roku zeszłego, było ich 45, między temi 10 pensjonarek, obecnie jest 75, a w tej liczbie 28 pensjonarek. Że przecież zakład nie chce dla względów pedagogicznych tak liczne grono wychowanek razem zgromadzać, postanowionem zostało utworzenie w najkrótszym czasie filii pensjonatu, pod przewodnictwem jednej z nauczycielek szkoły, która z tytułem inspektorki zarząd obejmie, jak to dla

tych samych względów już się praktykuje w wyższej szkole angielskiej — w Girton-College.

W lecznicy dla kobiet i dzieci, otwartej świeżo w Edynburgu, została mianowaną doktorem ordynującym Dr Zofia Jex Blake, znana z rozgłosnego i upartego sporu sądowego z uniwersytetem Edynburskim, a raczej ze studentami, których nacisk przymusił uniwersytet do oddalenia przyjętych już i studyujących od roku kobiet. Dr Blake podnieść będzie prace z czterema konsultującymi doktorami, mężczyznami.

Księżna Leeds, jedna z największych pań angielskich, weszła do zarządu szkolnego w Stapleford, w hrabstwie Cambridge. Księżna już zeszłego roku była członkiem wspomnianego zarządu, członkiem rzeczywiście użytecznym i czynnym, rzeczywiście odpowiadającym zaufaniu wyborców, bo urząd ten w wychowaniu i oświeceniu publicznym zyskuje się przez wybory.

Nieznajoma z nazwiska dawczyni ofiarowała zarządowi szkolnemu w Brighton 1,000 funtów sterlingów, w celu używania procentu od tej summy, na nagrody dla uczeni szkółek miejskich, celujących w nauce religii. Zarząd przecież namysla się, jak użyć tego daru, lęka się bowiem obudzić ducha hipokryzyi w dzieciach, udzielając nagrody za naukę, takiego jak religia przedmiotu, a to tem więcej, że nagród podobnych szkółki miejskie nie posiadają w przedmiotach innych.

W ratuszowej sali miasta Birminham, odbył się odczyt, urządony staraniem *Kobiecego stowarzyszenia w celach pożytecznej pracy* (Ladies Association for useful Work), a mający za przedmiot „Pożywienie i jak je gotować”. Odczyt ów miał znany w Anglii nauczyciel rozumnego i zdrowego gotowania, Buckmaster, i rozpoczął on nim serję wykładów swoich, tak bardzo pożytecznych w mieście zaludnionem przez krocie robotników, których ubogie gospodarstwa potrzebują racjonalnej wiedzy w dziedzinie ekonomii domowej. Odczytowi towarzyszyły przykłady gotowania w sposób najoszczędniejszy — gotowania taniego. Wspomniane stowarzyszenie przeprowadza w swojej szkole gotowania naukę: gotowania dla klas pracujących, dla klas średnich i gotowania wykwinowego dla domów bogatych. Przewodniczący zebraniu, członek parlamentu Chamberlaine, dziękował ze strony miasta stowarzyszeniu, za jego niewątpliwie pożyteczną pracę. Władze publiczne, usiłujące działać na korzyść zdrowia i wygody ogółu, spotykają się co chwila z udaremniającą wszystko niewiedomością, ciemnotą warstw ludowych. Próżno też rozszerzają się po miastach fabrycznych ulice, sadzą drzewa, usuwają nieczystości, budują ścieki i wodociągi: póki lud nie będzie wiedział co jest podstawą zdrowia ludzkiego, jak ważną rzeczą jest świeże powietrze, czystość w mieszkaniach i podwórzach, co jest ekonomia domowa? — wszystkie te usiłowania będą próżnym, bezskutecznym wysiłkiem. *Stowarzyszenie pań w celach pożytecznej pracy* zasłużyło się też wielce krajowi, ucząc lud roboczy higieny domowej i domowego gospodarstwa. Jak kupić, zachować, przyrządzić i spożyć pokarm? jest nie małego znaczenia nauką, która za pośrednictwem dobrobytu rodzin, oddziaływała na dobrobyt społeczeństwa i państwa całego, stanowi zatem godną uznania działalność obywatelską.

Gmina miasta Bristolu, niewypuszczając z wdzięcznej pamięci wysokich zasług Maryi Carpenter, uczciła ją kamieniem pamiątkowym, umieszczonym w tamtejszej katedrze. Jest to wielka tablica z białego marmuru, a na niej wypisane złotem tytuły zmarłej do sławy długowiecznej: obywatelskie i filantropijne jej czyny, dokonane w Anglii i Indyach. W górze medalyon naturalnej wielkości, przedstawia w profilu spokojne i poważne oblicze zacnej kobiety, oddane wypukłorzeźbą.

Stowarzyszenie londyńskich aptekarzy, utworzyło stały konkurs botaniczny dla kobiet, nie przechodzących wiekiem lat dwudziestu. Temata dawane do opracowania, nie ograniczają się bynajmniej do botaniki medycznej; konkurs zaś dzieło się na dwie połowy. W tym roku przedstawiło się 77 dziewcząt, składając piśmienne wypracowania w przedmiocie budowy i fizjologii roślin, a z tych dwadzieścia otrzymało listy pochwalne, i następnie dziewiętnaście stanęło do popisu sto-

pnia drugiego; ubiegając się o dwie nagrody towarzystwa: złoty i srebrny medal, oraz nagrodę miss Twining z Twickenham, polegającą na dwutomowym dziele: *Illustrations of Natural Orders*. Przedmiotem examinu były mchy i paprocie, oraz różne doświadczenia mikroskopijne. Z trzech tryumfatorek, jedna miała lat dziewiętnaście, druga siedemnaście, trzecia piętnaście. Pismo: *British Medical Journal* pisze, że niektóre z wypracowań były niepospolitej wartości. W Anglii nauka botaniki jest bardzo rozpowszechnioną między kobietami, i w programacie naukowym dziewcząt, będących mieszkankami wsi, stanowi jeden z przedmiotów ważniejszych, co jest bardzo słuszną i bardzo pożyteczną rzeczą. Przybywa w ten sposób kobiecie z jednej strony szlachetne i przyjemne zajęcie umysłu, z drugiej otwiera to drogę do zamilowania ogrodów, dając możność rozumnego i racjonalnego niemi zarządzania. Zaznacza się to na wystawach kwiatów, owoców i jarzyn, jakie rok rocznie odbywają się w całej Anglii, dzieląc się na wystawy powszechne, prowincjonalne i parafialne. Angielka wyższych klas, szczególnie młoda panna, uważa sobie zamilowanie do ogrodnictwa i hodowania kwiatów za coś poetycznego i zalecającego dobrze kobiecie, dlatego też usiłuje odznaczyć się w tym kierunku, i stało się to dziś taką modą, że pisma humorystyczne czerpią z tego nieraz przedmioty do żartu. Zwykle królowa i księżniczki należą do wystawczyń, a popęd dany w tym kierunku, działa na ogół i na wystawach parafialnych, kobiety wiejskie występują często z bardzo pięknymi okazami.

Pomiędzy osobami ozdobionymi w tym roku francuskim orderem Legii-honorowej, znajduje się panna Dodu, obecnie dyrektorka poczty w Montreuil, o której patriotycznym czynie, dokonanym w czasie wojny niemiecko-francuskiej, pisaliśmy niegdyś, a który stał się tytułem do otrzymanego obecnie odznaczenia. Wtedy panna Dodu była naczelniką telegrafu, w którymś mieście zajętem przez Prusaków, i z narażeniem życia przejęła pruską depeszę telegraficzną, ocalając przez to oddziały francuskie, które miały zostać rozdzielone i zaskocone zniemacka. Została też skazaną na śmierć, i tylko szlachetna interwencja samego wodza armii, księcia Karola pruskiego, uratowała jej życie. Na wielkiem przyjęciu, jakie miało miejsce w pałacu Legii Honorowej, w miesiącu Sierpniu, p. Dodu była otoczona szczególną czcią i uznaniem, a jej chwała obudziła snadź zazdrość, gdyż w tych dniach skazano na dwa miesiące więzienia, jakąś mieszkankę Wersalu, za bezprawne używanie wstążeczki Legii Honorowej.

W roku 1880 Akademia Francuska rozstrzygać będzie po raz pierwszy w konkursie ustanowionym przez panią Juliuszową Janin; 3,000 franków; udzielonym zostanie za najlepszy przekład jakiegosć łacińskiego dzieła na język francuski. W roku przyszłym akademia wyda również po raz pierwszy sąd w konkursie, ustanowionym przez panią Bota z Nowego-Yorku; tu nagrodzonym ma być najlepsze dzieło *O położeniu kobiet*, z wysłanych w przeciągu lat pięciu, konkurs poprzedzających. Dzieło nagrodzone powinno być pisanem po francusku.

Nowe stowarzyszenie kobiet zawiązało się w Paryżu pod nazwą *Ruche Féminine*. Przedmiotem stowarzyszenia jest dostarczanie roboty potrzebującej tego kobietom, i w tym celu otworzone zostaną obszernie, w różnych dzielnicach miasta położone pracownie dla kobiet, oraz sklepy, w których sprzedawane będą wyrobione tam przedmioty.

Marszałkowa Mac-Mahon zajmuje się gorąco zbieraniem funduszków na korzyść ofiar żółtej febr, szerzącej się w Ameryce.

Panny: Henryka Griess, Paryżanka, i Aurelia de Barreau z Moratel, zyskały w Sorbonie stopień

Bachelier es lettres. Panna Małgorzata Gidel, córka dyrektora kolegium Henryka IV, licząca lat szesnaście, przeszła pierwsze na ten naukowy stopień examina. Ludwik Audiot, professor retoryki w Poitiers, przyprowadził tamże troje swoich dzieci: dwóch synów i córkę, do zdawania examinu na *Bachelier es lettres* i wszystko troje złożyło examinu w tym samym dniu zarówno szczęśliwie.

Szkoła Infirmerek, otwarta w Paryżu d. 1 Kwietnia roku bieżącego przy szpitalu *Salpêtrière*, odbyła pierwsze examina w d. 15 Września, i odznaczając się uczennice otrzymały nagrody, to w książeczkach do kass oszczędności, to w instrumentach potrzebnych do ich przyszłego zawodu infirmerek.

Berliński oddział *Stowarzyszonych gospodyń niemieckich*, ogłasza programat odczytów, mających trwać od d. 15 Października do 15 Grudnia przy szkole gotowania tegoż stowarzyszenia. Lina Morgenstern, wysoce zasłużona przewodniczka taniach kuchni w Berlinie, nauczać będzie dwa razy tygodniowo, od 9 do 10 godziny, w przedmiotach: Pożywienie niemowląt, pożywienie dzieci młodszych i dzieci starszych; pożywienie młodocianego wieku w czasie nauk szkolnych; pożywienie osób dorosłych, ze względu na postępy wieku, budowę ciała i zajęcia, jakim się oddają. Pożywienie chorych dzieci w rozmaitych chorobliwych przypadłościach ich wiekowi właściwych.

Cały ten dział pożywecej higieny domowej zamknie się w dwunastu odczytach. Drugie dwanaście stanowią będą kurs ekonomii domowej, obejmujący przedmioty: O kupnie i najwłaściwszem użytkowaniu przedmiotów do pożywienia służących; o cenach i rzeczywistych wartościach tychże przedmiotów; oszczędność paliwa; zużytkowanie odpadków i resztek pożywienia; zarząd domu w miarę rozmaitych stopni zamożności; urządzenie kuchni, spiżarni i piwnicy; przyjęcie gości, urządzenie pokoju jadalnego i nakrycie stołu.

Lekarz stowarzyszenia, Dr Brackebusch, także dwarazy tygodniowo nauczać będzie, w dwudziestu czterech lekcyach: „O chemicznych przemianach pokarmów przez proces gotowania, dodatek soli i korzeni; o wpływie metali na pokarmy; o szkodliwych polewach naczyń; o mięsie i mięsnych ekstraktach; o jajach; o rybach i pożywnej tychże wartości; o jarzynach; o jarzynach strączkowych, o kartoflach; o chlebie i pieczywie w ogóle; o mące; o fermentacji cukrowej, o drożdżach, occie, winie, piwie; o spirytusach; o tłuszczach, to jest o maśle, sadle wieprzowem, oleju i oliwie; o mleku, kawie i kakao; o konserwach i zasadzie konserwowania“. Plan nauki w kuchni stowarzyszenia, będzie dla użytku publicznego podawany w pismach co tydzień. Nauka o naczyniach, poprzedzi właściwą gotowania naukę; pierwsze lekcye rozpoczęte d. 15 Października, traktować będą o narzędziach ostrych, ich jakości i wartości rozmaitej, o sposobach użycia, ostrzenia i oczyszczania.

Dr Franciszka Tibertius, została mianowaną przez najważniejsze stowarzyszenie kobiet berlińskich, Lette-Verein, doktorem w szkole zecerskiej tegoż stowarzyszenia. Obawa o zdrowie kobiet, oddających się temu rzemiosłu, okazała się tak pilną, jak rozsiewana niegdyś trwoga, co do szycia na maszynie. Każda praca zużywa w pewnym stopniu organizm, niemniej przecież ręką założyć nie można, a w kunsejce drukarskim niema nic szczególniejszego organizmowi niewieściemu wrogiego. Francuzki są bardzo dawno zecerkami, nie doświadczając przez to większej niż przy innej pracy, szkody na zdrowiu, i obecnie Niemki doszły do tego samego przekonania, podobnie jak Angielki, Szwedki i tam dalej. Szkoła zecerek wyżej wymienionego stowarzyszenia, jest w związku z drukarnią akcyjną, na ten cel wzniesioną, aby uczennice szkoły miały gdzie dosta-

tecznej wprawy nabywać. Drukarnia ta przyjmuje robotnice tylko za pośrednictwem stowarzyszenia; warunek przyjęcia jest szesnaście lat wieku, świadectwo ukończonej choć dwuklassowej szkoły, lub złożenie examinu. Czas praktyki bezpłatnej trwa sześć miesięcy; następnie zecerka jest płatną według niemieckiej taryfy drukarskiej. Dobre zecerki zostają w zakładzie, lub zostają w innych drukarniach pomieszczone. W r. 1875 drukarnia akcyjna zajmowała 17, w 1876 roku 25, w 1877 roku 29 zecerek. W innych drukarniach pomieszczone dotąd razem 17 zecerek. Zarobek tygodniowy uzdolnionej zecerki jest od 20 do 26, a nawet 30 marek. W 1876 roku drukarnia wypłaciła ogółem zecerkom 15,000 marek, w 1876 roku 16,000 marek, płacąc przytem akcyonaryuszom po 5% od sta dywidendy; jakkolwiek szóstą część czystego dochodu idzie na kasę zapomogi i kasę chorych zecerek. Wydatek na ten cel od 1875 r. do końca 1877 r. wynosił 680 marek. Z końcem 1877 roku kassy wspomniane miały kapitału zakładowego 488 marek. Zecerki obecnie pracujące w zakładzie, dzielą się według stanu jak następuje: trzy córki właścicieli ziemskich; pięć córek duchownych; jedna córka nauczyciela gimnazjalnego; pięć córek kupeców; jedna córka doktora; pięć córek wyższych, dziewięć niższych urzędników rządowych. Stowarzyszenie Lette-Verein mające na celu wyższe ukształcenie i rozwój pracy kobiecej, ogarnia bardzo szeroki zakres działania: ma licznie uczęszczaną szkołę handlową, rzemieślniczą, rysunkową. Szkoła handlowa ma dwie klasy i obejmuje naukę niemieckiego, francuskiego, angielskiego języka, wykład geografii, naukę rachunków, kalligrafię, buchalterię podwójną, naukę o wexlach i naukę korespondencyi handlowej; w tym roku liczy 54 uczennice. Szkoła rzemieślnicza liczy 863 uczennice, z tych 111 wolnych słuchaczek; uczy kroju i roboty sukien oraz strojów; robót ręcznych, to jest haftów i koronek; szycia na maszynie, kroju bielizny, fryzjerstwa i kwaciarstwa. Dom Wiktorji (*Victoria-Stift*) jest domem dla samotnych młodych kobiet, na dłuższe lub krótsze zamieszkanie; w 1876 roku mieszkało w nim 136, w 1877 roku 161 pań, płacąc tygodniowo za pokój i utrzymanie 15 marek. Restauracja zakładu prócz stałych mieszkanek, wydaje zwykle obiadów na 76 do 80 pań, obiad po 75, dla abonentek 60 krajcarów. Z restauracją złączona jest szkoła gotowania, która w r. 1877 miała 90 uczennice, płacących miesięcznie 15 marek za naukę, 15 marek za utrzymanie. Biuro stręczeń stowarzyszenia miało żądających umieszczenia osób 2,308, dało miejsce 1,101. Umieszczonymi było: 201 nauczycielek, 136 bon, 50 dozorecznyń do zakładów Fröblowskich; 136 szwaczek, 93 kantorowych, 20 gospodyń, 5 dyrektorek do zakładów bielizny i magazynów strojów, 2 dyrektorki do fabryk kwiatów, 10 osób do towarzystwa. Przytem sprawozdanie stowarzyszenia robi wzmiankę, że najwięcej osób, którym pracy znaleźć nie było można, należało do tego ostatniego działu osób, nieuzdolnionych do żadnego określonego zajęcia.

Bazar-Wiktorji miał wciągu roku 1,000 zamówień; zajmując nieustannie 32 szwaczek i hafciarzek pracujących na maszynach do szycia i haftu, 25 krajezyń i 15 wykończających robotę. Maszyna do układania plisek, kosztująca 142 marki, przyniosła wciągu 5 miesięcy 320 marek; 258 form na ubiory dało zysku 389 marek.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Kłamcy*.

TREŚĆ. Nauka i wychowanie dziewcząt, przez Maryę Ilnicką. — Meleszkowie, powieść, (dalszy ciąg), przez Zbigniewa. — Antoni Malczeski, (Zarys biograficzno-literacki), (dokończenie), przez Wł. Chodźkiewicza. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Ruch muzyczny, (dalszy ciąg), przez Jana Kleczyńskiego. — Kronika działalności kobiecej.